Ner 2. Kraków 8 stycznia 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny.— Szkice obyczajowe.— Powieści.— Sztuki i literatura.— Życiorysy.— Podróże.— Poezje.— Z przyrody.— Korespondencje.— Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się do każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel dreźdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny"— w Krakowie.

Nr. 2. — O wychowaniu kobiet w Ameryce p. J. N. (c. d.). — Toast, wiersz karnawałowy p. Aleksandra. — Zofja Kaplińska, życiorys (z drzeworytem). — Tytuł i szkatuła, obrazek współczesny p. Wołodego Skibę (c. d.). — Przegląd krytyczny p. O...le. — Teatr p. O...le. — Kronika. — Rebus.

O WYCHOWANIU KOBIET
W AMERYCE.

II.

Ale konsekwentni i logiczni Amerykanie poszli dalej na tej drodze. Jeżeli kobieta może i powinna tenże sam co mężczyzna kurs nauk przechodzić, czy, dla oszczędności sił nauczycielskich i funduszów nie należałoby urządzić szkół wspólnych czyli mięszanych? Pytanie to, któreby w Europie wywołało prawie oburzenie, zostało doświadczeniem rozwiązane w Ameryce, a choć i tam jeszcze spotyka przeciwników, coraz więcej jednak wchodzi w użycie. W New-Yorku, New-Haven i w Chicuyo wszystkie szkoły są mięszane, w Bostonie na 20 szkół 7 jest wspólnych, za to w Baltimor wszystkie są oddzielne. Ale wzorem w tym rodzaju jest kolegium w Oberlin, o którém w sprawozdaniu p. Hippeaur ciekawe znajdujemy szczegóły. W 1833 r. trzéj pastorowie protestantcy John Shipherd, Stewart i Karol Fennej związali się ze sobą celem odrodzenia kościoła reformowanego za pomocą szkoły.



ZOFJA KAPLIŃSKA.

Trzéj ci więc ludzie bez środków i funduszów, założyli lat temu 36, wioskę z kilku chat złożoną, w któréj dom modlitwy i razem szkoła, pomieścić mogła zaledwie 30 uczniów.

Dziś wieś ta liczy 5000 mieszkańców, a szkoła czyli raczéj kolegjum posiada 800000 kapitału i siedem pięknych gmachów, w których 20 professów udziela nauk 1134 wychowańcom płci obojga. Wychowańcy téj szkoły złożyli już dowody patrjotyzmu i ofiarności. Kiedy Lincoln powołał 75000 ochotników pod broń, Oberlin w ciągu trzech dni podpisało dobrowolną składkę 50000 franków, swoim kosztem wystawiło 2 kompanje, a 41 uczniów zaciągnęło się pod chorągwie. W ogóle w rozmaitych pułkach armii północnéj służyło 850 dawnych wychowańców tego zakładu, a od lat trzydziestu wykształcił on 15000 uczniów płci obojga.

Wychowańcy dzielą się na *internów* i *externów*, pierwsi sypiają i jadają w zakładzie, ostatni stoją na pensji u mieszkańców wioski. Najpiękniejszy budynek zwany Ladies-hall mieści w sobie sypialnie dla 100 dziewcząt, i wielką salę jadalną, w któréj 100 dziewcząt i 100 chłopców jadają razem.

Cztery biblioteki oddane na użytek uczniów zawierają 10,000 tomów. Najwięcej uczniów liczy oddział przygotowawczy, sposobiący ich na nauczycieli i do życia praktycznego. Przy kolegium istnieje szkoła rzemiosł, szkoła rolnicza, i konserwatoryum muzyczne. Wszystkie lekcye odbywają się dla obu płci razem. — Zabawy też spacery pieszo i konno, obiady i herbaty są wspólne. Dozór nad dziewczętami mają kobiety, zwykle wdowy po profesorach, nad chłopcami profesorowie. Dozór ten jest nie zły, ale wykonywany tak żeby się mącić nie dał, żeby młodzież miała zupełną swobodę, a tém samém zupełną za czyny swe odpowiedzialność.

Jakie są rezultaty wychowania takiego? Czy na tém nie cierpią obyczaje i moralności? Bo nie trzeba zapominać że większa część wychowańców tak dziewcząt jak chłopców liczy od 15 do 18 lat.

A najpierw zapytuje p. Hipona jakie tu korzyści takiego systemu? Na to dyrektorowie kollegium w Oberlin odpowiadają: Przedewszystkiem szkoła mięszana wymaga o połowę mniejszych kapitałów i funduszéw jak dwie szkoły oddzielne, dla każdéj płci osobno. System ten wygodnym jest dla rodzin, bo tak synowie jak córki razem kształcić się mogą. i rodzeństwo się nie rozdziela co podtrzymuje stosunki rodzinne i rozwija je w młodzieży. Między dziewczętami i chłopcami wyrabia się szlachetna emulacja, będąca nieporównanie dzielniejszą zachętą, jak wszystkie gdzieindziéj używane wygody. Obecność dziewcząt nadaje chłopcom owe przymioty towarzyskie, jak grzeczność, delikatność, przyzwoitość, których nie łatwo w czynném nabyć życiu. Obie płci szanują się nawzajem do tego stopnia, że zakaz palenia cygar, wszędzie jak wiadomo łamany przez uczniów w Oberlin jest bardzo ściśle przestrzeganym. Wybryki zdarzają się bardzo rzaoko, tak że na *pięć lat* przypada *jedno* wydalenie.

Wszystkie te jednak argumenta nieprzetrzymają jeszcze francuskiego pedagogu— stawia on cały szereg zarzutów p. Fuirchild, dyrektorowi zakładu.

Czy umysł dziewcząt objawi może tak rozległy zakres wykładu, czy nadążyć one są w stanie chłopcom w postępach naukowych? Czy wysilenia te zdrowiu ich nie szkodą? Na to p. Fuirchild, opierając się na ośmnastoletnim doświadczeniu, w ciągu któregoto czasu wykładał na przemian Puriur, grecki i hebrajski język, potém matematykę, potém filozofię, odpowiada, że we wszystkich tych wiedzy gałęziach nie znalazł żadnéj różnicy między zdolnościami płci obojga, że obie dostarczały równy procent dobrych i słabych uczniów. Śmiertelność już między dziewczętami wynosi 1 na 12, gdy między chłopcami 1 na 9.

Ale zarzuca daléj p. Hippeau, gdy każda płeć ma inne w życiu zadanie, czyż rozsądną jest rzeczą dawać im wspólne, jednakowe wykształcenie? Zapewne odpowiada Amerykanin — zarzut byłby słuszny, gdyby kolegjum dawało wykształcenie specjalne, ale ono rozwija tylko umysł i osłabia go temi wiadomościami, które służyć mogą za punkt dalszego, specjalnego kształcenia się. Zresztą każda płeć w właściwy sobie sposób korzysta ze zdobywanéj wiedzy, i jak jedno i to samo jedzenie nie zrobi z dziewczyny chłopca, tak jeden i ten sam pokarm umysłowy niezatrze naturalnych różnic.

Lecz w tém nagłem zbliżeniu się, czy obie płci nie tracą przymiotów swoich? Czy dziewczyny nie przejmują szorstkości chłopców, a ci czy nie niewieścieją, nie stają się płochymi? I tu znów doświadczenie dowodzi, że się dzieje wprost przeciwnie.

Obecność dziewcząt wyrabia właśnie w chłopcach uczucia szlachetne i rycerskie, obecność chłopców rozwija w dziewczętach delikatność, wdzięk i elegancję, choćby dla tego, że to im uwielbienie i szacunek tamtych zapewnia.

Tak pobity nasz autor sięga do arsenału po broń najcięższego kalibru i powiada: „Mniejsza o to wszystko, ale pozostają obyczaje. Czyż uwierzyć można żeby w tém ciągłém połączeniu nie było wielkiego niebezpieczeństwa? Jak uwierzyć że nie wyradza się tu pociąg wzajemny, będący źródłem i początkiem najgwałtowniejszéj z ludzkich namiętności? Na zarzut ten niezawodnie trudny do odparcia, dyrektor mięszanego zakładu odpowiada wiecznie tymże samym, ale zawsze najdzielniejszym argumentem: *doświadczeniem.* A doświadczenie to tłomaczy następującą teorją. Pociąg ten naturalny, o którym mowa, silniejszym daleko bywa, gdy młodzi ludzie i młode dziewczęta żyją zdala od siebie, i znają się tylko nawzajem takiemi, jakiemi im ich wyobraźnia maluje. Przyzwyczajeni żyć razem, widywać się ciągle jak dzieci jednéj rodziny trudniéj daleko ulegają romantycznym marzeniom. Miejsce ich zastępuje wzajemny szacunek i przyjaźń braterska. Nie idzie za tém, żeby dyrektorowie i nauczycielki mieli się wyrzec wszelkiego dozoru, ale dozór ten powinien być rozumny, prawie niewidzialny. I tu doświadczenie było najlepszym nauczycielem. Istniało w Stanach Zjednoczonych wiele zakładów naukowych, osobno dla chłopców, osobno dla dziewcząt. Przekonano się, że system ten narażał na częste nadużycia. Zwalono mury, połączono obie płci razem i nadużycia ustały.

Nakoniec p. Hippeau zdobywa się na strzał ostatni, równie jak poprzedni niebezpieczny zdaniem jego. Młodzi ludzie przyrzekają sobie zapewne niejednokrotnie pobrać się ze sobą w przyszłości— cóż rodzice na to? Rodzicie amerykańscy bynajmniéj się tego nie lękają. Najprzód rozumują oni bardzo słusznie, że gdy wychowańcy lat tyle żyli ze sobą razem, mogli się i poznać i ocenić dobrze, małżeństwo powinno być prawdopodobnie zgodne i szczęśliwe. Prócz tego w Ameryce rodzice prawie się nie wtrącają do wyboru dzieci, zostawiając im zupełnie w tym względzie swobodę. Nakoniec i tu

doświadczenie pokazało, że związki między wychowańcami jednéj szkoły nie są częstsze jak między młodemi ludźmi zdala od siebie wychowanemi.

Nareszcie ażeby pojąć ten system wychowania, trzeba pamiętać, że on ma miejsce w Ameryce. Kiedy u nas w Europie przesąd i zwyczaj każe kobiecie być ciągle pod czyjąś protekcją, a kobiecie pozbawionéj téj protekcji, każdy bezkarnie ubliżyć może.

„Śmiało twierdzić można, powiada Rudolf Linden, w swoim opisie nowéj wielkiéj kolei amerykańskiéj, śmiało twierdzić można, że w Ameryce obecność kobiety, jest pewnym rodzajem protekcyi dla męzczyzny, który jéj towarzyszy. Wszędzie otacza ją szacunek i względność, nie tylko ze strony ludzi dobrze wychowanych, ale ze strony każdego Amerykanina wykształconego lub nie. Wyjątki nawet, przez namiętne oburzenie jakie wywołują, dowodzą, że to jest ogólném prawidłem. Pani M. i jéj towarzyszki znajdowały zawsze zachowane dla siebie najlepsze miejsce przy stole i w wagonie, a nawet pół-dzicy robotnicy kolei miarkowali w ich obecności wyrażenia swoje. Pewnego razu, dwóch z nich pokłóciło się ze sobą, i już bić się mieli, gdy na prostą uwagę jednego z towarzyszów, *„że przestraszą ladies“* wyszli, by w innym wagonie sprzeczkę swą dokończyć.

Nie dziw więc, że w takim kraju i w obec zwyczajów tak prawdziwie cywilizowanych kobiety od najmłodszych lat używają zupełnéj swobody. Ale i to prawda, że na swobodę tę i na ten szacunek zasługują wykształceniem, z jakiém ogół naszych kobiet europejskich nie zrównał się jeszcze.

TOAST

wiersz karnawałowy.

Niech wiecznie miłość i wino żyje!
Niechaj go pije
Balując świat.
Gdy wino kipi perłami w szklance,
Młodość szalona śni o kochance.
Bo młodość życia kwiat! —
Życie sen krótki — spieszyć się trzeba. —
Na to u dziewcząt usta z korali.
By w pocałunkach pić nektar nieba.
Dlatego wino gorzeje i pali,
Aby nie zastygł świat.
Gdy ci na ziemi nic nie zostanie,
Kiedyś nie w stanie —
Kochać i śnić.
Spragnione usta dotknij do szklanki,
Co ci z miłości — co ci z kochanki!
Trzeźwym nie warto żyć —
Niech ten młodości swojéj żałuje,
Komu na trzeźwo minął wiek młody. —
Koral na ustach się wycałuje,
Ale karpackich winnic jagody,
Bez końca można pić!

Aleksander.

ZOFIA KAPLIŃSKA.

Oto macie przed sobą wizerunek dziewicy, któréj serce gorącą pałało miłością dla bliźnich, zwłaszcza dla prostaczków, dla ludu. Rysów nadobnych, pełna wiadomości i powierzchownéj ogłady, nie rzuciła się w burzliwe tonie świata, by tam szukać dla siebie hołdów i powodzenia, lecz owszem cichéj poświęcała się pracy i tą jedynie była zajęta myślą, ażeby wrodzone zdolności i nabytą naukę, na pożytek ogółu obrócić. I ten kwiat wiośniany, co taką woń — tyle wdzięków w około siebie rozlewał, zaległ już ścięty ręką nielitościwéj śmierci. Mój Boże, a tyle chwastu się pleni po bujnéj niwie świata, co tylko pożywne soki wypija bez żadnego pożytku dla siebie i dla drugich, rozpierają się jego krzewy chyba dla tego, ażeby w jadowitych uściskach zdławić skromne roślinki. Ale ukorzmy się przed wyrokami Boskiemi, które się codzień przed naszemi oczami spełniają, a zawsze są niezbadane, niedostępne dla naszego umysłu. Wszystko, co od Boga pochodzi, mądrze i ku naszemu dobru jest urządzone, tak że my w dobréj i złéj doli z równém uwielbieniem święte Jego imię czcić powinniśmy.

Opowiedzmy już żywot naszéj zmarłéj. Zofja Kaplińska urodziła się w roku 1831 w Warszawie. Do roku 14-go przebyła na wsi, w majętności rodziców, którzy, a mianowicie ojciec, trudnili się jéj ukształceniem. Tam to, w obec pięknéj natury, przy czułem i wrażliwem usposobieniu, swobodnie rozwijało się serce i pięło się ku czystemu niebu, gdzie u źródła piękna i prawdy otrzymało namaszczenie na niedługą niestety przyszłość. Nie utonęło jednak ono w marzeniach, nie rozpieściło się i nie zmiękło do zbytku, bo rozum ojca stał na straży i ostrzegał o niebezpieczeństwie; zaprawiając swe uwagi słodyczą, przyzwyczajał do zamiłowania prawdy samej w sobie, rozumie się w granicach w jakich je serce dziecinne — niewieście pojmować zdołało. To wychowanie odbiło się w późniejszych pismach Zofji. Nie znajdziesz tam mdłych sentymentów, które nie tylko nie zasycą umysłu, ale go łatwo spaczyć, w stan chorobliwy wprowadzić mogą; za to tchnie z nich czysta prawda, owiana nieporównanym wdziękiem i na wskroś przejęta miłością chrześciańską.

C. d. n.

TYTUŁ I SZKATUŁA.

Obrazek współczesny

przez

WOLODEGO SKIBĘ.

II.

Ile może dać do myślenia jeden rzut oka na cedułę pocztową.

Miasteczko leżało przy trakcie bitym drugiéj klasy, na którym zwykle nie bywało bardzo wielkiego ruchu. Tego dnia jednak Stefan zastał przed budynkiem pocztowym wygodny powóz, w którym dwóch podróżnych nie wysiadając oczekiwało przeprzężenia koni.

Przechodząc nasz bohater rzucił okiem na siedzących w powozie i uśmiechnął się mimowolnie, gdy jego uszu doleciały po kilkakroć wyrazy: „jaśnie wielmożny Panie“ którym jeden z dwóch pasażerów bakę widać świecił drugiemu.

Mimowolnie zdjęła go ciekawość kim mógł być ów przyjezdny z takiém uszanowaniem tytułowany przez swego towarzysza podróży.

Wszedł do kancelarji gdzie pisarz pocztowy notował właśnie na cedule godzinę i minutę przybycia podróżnych i spojrzał na nazwisko pasażera.

Nie trzeba się dziwić że go to nazwisko uderzyło. Jaśnie Wielmożny podróżny był jego imiennikiem. Nazywał się podobnież Mir, tylko przed jego nazwiskiem znajdował się wyraz którego dotąd Stefan nigdy nie myślał kłaść przed swojém, wyraz: hrabia.

— Samo podobieństwo nazwiska nie byłoby zapewne tyle zastanowiło Stefana, ile go zastanowił ten dodatek.

— Hrabia Mir! powtórzył sobie w myśli.

Zasiedziany w prowincyonalném miasteczku Stefan niesłyszał o żadnych Mirach, którzy się niczém nie upamiętnili w dziejach dawniejszych, i nie wielki mieli udział w współczesnych. Zdawało mu się dotąd, że nazwisko które odziedziczył po zmarłym ojcu, było nazwiskiem tak dobrém i powszedniem jak każde inne, miléj może brzmiące od nazwiska panny Kunegundy Cudackiéj, Michała Szczepika, pana Izydora Pokrzywki, a nawet Józika Potuckiego, w żadném jednak razie nie dającém prawa do dziewięcioperłowéj korony. Zdawało mu się daléj, że to nazwisko było jego wyłączną własnością, że go nikt inny oprócz niego nie nosił, wiedział, że nie ma nigdzie krewnych — nie domyślał się żeby mógł mieć imiennika.

Teraz nagle i niespodziewanie dowiadywał się o imienniku noszącym tytuł hrabiego, i przekonywał się że wyraz hrabia tak pasował do jego rodowego nazwiska, jakby był do niego stworzony, a jak z pewnością nie mógłby pasować do równie godnych dotąd w jego pojęciu nazwisk noszonych przez pannę Kunegundę, Michasia, pana Izydora i tak niedawno jeszcze wyśmianego przezeń Józika.

Jestto okoliczność o któréj nie wiedzą wcale ci nasi panowie, co w swych wojażach za granicę zaraz w pierwszém mieście przyjmują od kilnera tytuł arystokratyczny, że są nazwiska do których takie tytuły zupełnie a zupełnie nie pasują. — Wymów obok takiego nazwiska wyraz hrabia albo baron, a będzie ci się zdawało, żeś rozdzierający ucho fałsz muzyczny usłyszał. Takie dyssonanse nazwisk i tytułów zdarzają się niekiedy nawet ludziom, którzy do noszenia tytułu jakąbądź drogą nabyli prawo, ale prawie zawsze zdarza się tym co do tytułu przyszli z łaski krawca, lub praktykanta obuwia.

Nazwisko Mir, nie należało do takich nazwisk. — Można było dawać mu za wstęp wszelkie tytuły istniejące w heraldyce, a nikogo ze słyszących nie zabolałyby uszy.

Stefan poraz pierwszy przekonywał się o tém, i dziwne to na nim zaczynało robić wrażenie.

— Rzecz osobliwa, — myślał, — zestawiam z sobą dwa wyrazy, z których jeden ma tylko jakiś tradycyjne pamiątkowe znaczenie, a drugi tyle znaczy, ile znaczy człowiek, który się nim mianuje, i zdaje mi się, że z tego zestawienia coś zupełnie innego i nowego wypływa!

Dziedzic hrabskiéj korony już dawno odjechał, pisarz pocztowy zapisywał coś w księgach, ceduła znikła ze stołu, a nasz bohater nie mógł sobie jeszcze wybić z myśli tych dwóch wyrazów i ciągłe powtarzał:

— Hrabia Mir.... hrabia Mir....

Zbyteczném byłoby dodawać, że zapomniał po co przyszedł na pocztę.

List do Stacha pozostał nie wyjęty w boczném kieszeni jego tużurka, a Stefan jakby po to tylko przychodził, żeby się dowiedzieć, iż bywają hrabiowie tegoż co i on nazwiska; przypomniał sobie wreszcie, że nie ma co robić na poczcie; zabrał się i wyszedł do domu.

W drodze dzwięczało mu ciągle w uszach.

— Hrabia Mir...

Dopiero gdy przechodził koło domu doktora Pieprzyckiego, w którym mieszkała panna Helena, z dwóch tych wyrazów mieszczących w sobie jakąś myśl niewyraźną i nieodgadniętą, wyrodziła się myśl jasna i prosta:

— Ona doprawdy warta być hrabiną!

Oto już poraz pierwszy, w drobny jeszcze i nieznaczący sposób nasz bohater zaprzeczył temu, czegoby należało po nim się spodziewać sądząc go z listu, o którym zapomniał. W tym niewinnym napozór wykrzykniku myślowym, który tak łatwo było wziąść tylko za wyraz uwielbienia dla pięknéj gwiazdy miasteczkowego horyzontu, mieścić się mogła także jakaś chętka zostania hrabią, ażeby ją módz uczynić hrabiną, albo żal jakoś że mu przodkowie nie przekazali tego tytułu,

któryby pragnął złożyć u jéj stóp. Czyby to była chętka czy żal, byłoby zawsze złém, gdyż oznaczałaby że w umyśle Stefana rodzić się poczyna niezadowolenie ze stanowiska na jakiem los go postawi w społeczeństwie, ze stanowiska, na którém dotąd było mu znośnie i dobrze, na którém się za upośledzonego nie uważał i którego nie miał za niższe od jakiegokolwiek innego.

Być może jednak że w tém odezwaniu się Stefana jeszcze ani owéj chętki, ani żalu nie było. W każdym razie było w niém uznanie tego, czego dotąd zaprzeczał, uznanie wyższości społecznéj tytułu, a sposób jakim doszedł do tego uznania był zatrważający i złowróżbny. Przekonanie jakie miał dotychczas o tytułach, które uważał za historyczną spuściznę minionéj przeszłości, za pamiątkę przywileju, który niegdyś nadawał prawa, a dziś nadaje tylko obowiązek dochowania bez skazy odziedziczonego imienia, przekonanie to wyrobione wieloletnią pracą nad samym sobą, ustępowało nagle za jednym rzutem oka na cedułę pocztową i zamieniało się na wprost przeciwne. Nie byłoż to oznaką że i Stefan nie był wolnym od téj dosyć powszechnéj u nas i w ogóle u ludzi wady, że pragniemy równości pókiśmy niżsi, a gdy nam samym możność wywyższenia się jakimś dalekim promykiem zaświeci, porzucamy przed chwilą wyznawane zasady i gotowiśmy na oślep pędzić po przywilej, którymy potępiali z zapałem, póki był dla nas niedostępny.

Na zasługę naszego bohatera powiedzieć wypada, że się nie długo przy téj myśli zatrzymał, że nawet przeszedł od niéj do daleko rozsądniejszéj i trafniejszéj:

Ciekawym coby to mogło dodać jéj umysłowi albo sercu....

Szkoda, że i przy téj myśli nie zatrzymał się dłużéj cokolwiek. Dotychczasowe jego przekonania, których ta reputacya poprzedniego wykrzyknika była wyrazem, możeby z większą siłą wystąpiły gdyby się dłużéj zastanawiał nad tém pytaniem, i może tym sposobem zabezpieczyłyby jego umysł od powrotu natrętnych wspomnień o imienniku z tytułem.

Zdawało się, prawda, że Stefan już zupełnie o nim zapomniał. Teraz po krótkim wypowiedzeniu posłuszeństwa, myśli jego powróciły na owe tory, któremi od przyjazdu pięknéj Heleny do miasteczka wyłącznie postępowały.— Dumał o niéj.

Nie będziemy podsłuchywali jego różowych marzeń. Któż z tych co już najpiękniejszą epokę swego życia przeżyli, nie snuł podobnych; kto z tych, dla których teraz przypada pora rozkwitu serca takich samych nie snuje, kto z tych, których serce śpi jeszcze snuć tych rojeń nie będzie, gdy pierwsze żywsze uderzenie w pierw oznajmi mu ocknienie się uczucia?...

Przyszedł do domu, przyspieszając kroku od półdrogi. Zegar wieżowy na rynku, na który w przechodzie rzucił okiem, był powodem tego pośpiechu.

— Już piąta, — mówił do siebie,— o siódméj herbata u Pieprzyckich, a ja mam się jeszcze przebrać... spieszmy, żeby się nie spóźnić.

Nigdy Stefan nie był tak punktualnym na proszone herbaty w miasteczku, jak od tych kilkunastu dni, kiedy sobie postanowił rozwiązać arytmetyczne zagadnienie, o którém w liście była mowa.

Przebieranie się trwało kwandrans najwyżéj, pośpiech więc był widocznie zbyteczny. Stefan ani był elegantem pieszczącym się ze swą postacią i dbającym o to, żeby przypadkiem w ubiorze nie okazać własnego gustu i pomysłu, lecz niewolnicze posłuszeństwo dla cudzoziemskiego żurnala, ani téż miał bardzo w czém przebierać, gdyby się nawet chciał wyelegantować na intencją gwiazdy miasteczka.

Musiało mu się zdawać, że ten kwandrans trwał dwie godziny, bo zaraz po skończeniu toalety wyszedł w stronę domu doktora.

Kiedy przechodził rynkiem machinalnie spojrzał znowu na zegar miejski, na którym dochodziło wpół do szóstéj.

— Otóż masz,— rzekł do siebie,— a tom się pospieszył... jeżeli ten zegar nie stanął.

Że zegar szedł, przekonał się po chwili, bo zaczął wybijać kwandranse.

— Idzie,— pomyślał Stefan,— a więc mam dość czasu przed sobą, bo tak uczciwie przyjść nie wypada. Co to zrobić z tą godziną?... muszę się przejść trochę za miasto.

Uszedłszy kilka kroków zrobił nawiasową uwagę:

— To jednak dziwna, ale jestem pewny, że gdybym tak był hrabią na prawdę, tobym się prędzéj spóźnił niż pospieszył.

Pozwolimy tu sobie zrobić także nawiasowe spostrzeżenie, że bohater nasz miał o tytułowych osobach dosyć parafialne pojęcia. Według tego pojęcia hrabiowie mają krew niebieską, jedzą pieprzno, nie umieją chodzić piechotą, trzymają się sztywno, mówią uroczyście, a gdy gdzie są oczekiwani lub zaproszeni przychodzą *de riguers* o godzinę i trzy kwandranse późniéj od elegantki która najwięcéj czasu trawić musi nad tualetą w celu nadsztukowania brakujących lub z użytych wdzięków. Jeżeli parafia leży na uboczu, daléj od bitego traktu, to powyższa opinja uzupełnia się jeszcze tém przeświadczeniem, że na hrabskim stole nieodzowną potrawą jest zwierzyna, konserwowana przez dni kilkanaście na średnio-wilgotném powietrzu i zapowietrzająca okolicę.

Że Stefan Mir nie był zupełnie wolnym od tych przesądów dziwić mu się nie można, należał bowiem do tych pokrzywdzonych od losu istot, które nie miały zaszczytu z żadnym autentycznym hrabią dziecięciu wyrazów wymienić.

Ważniejszém dla nas jest to, że myśl o hrabi Mirze

znów powróciła do głowy Stefana. Zdawało się, że ten tytułowany mąż po to jedynie przejeżdzał przez miasteczko, ażeby sobie w mózgu parafjanina stałą urządzić rezydencją.

Jemu samemu nawet dziwném się to wydało, że mu tak ten hrabia wlazł w głowę.

— Mam o czém myśleć, doprawdy, — zganił sam sobie po chwili,— tamten jest hrabią a ja nie, widocznie nie jesteśmy z tych samych Mirów, więc on mnie tyle obchodzić powinien, coby obchodził gdyby się nazywał Niemir.. Gdybym był nawet z tegoż samego rodu, to widocznie tytuł służy tylko jakiejś linji do któréj ja nie należę, o któréj nawet dotąd nie wiedziałem jak ów hrabia Mir nie wie zapewne, że istnieje jakaś linija Mirów, którzy hrabiami nie są.

Była to taka rozsądna uwaga, że po niéj nic już takiego coby dotyczyło korony hrabskiéj nastąpić nie było powinno. Mimo to jednak nim uszedł sto kroków, Stefan zrobił sobie uwagę:

— A gdybym był z téj saméj linii?.... kto wie?.... przypominam sobie że mój nieboszczyk dziadek mawiał mi kiedyś, gdy byłem jeszcze sześcioletnim bębnem, i nie bardzo rozumiałem co to wszystko znaczy, że pochodzimy z bardzo dobréj familii, że Mirowie to stara szlachta, co dawniéj tylko po wioskach siadywała dziedzictwem, a miała wioski i piękne i liczne, tylko za ojca mego dziadka podupadła; że nawet mój pra-pradziadek, czy któryś z pra-pra-pra-dziadków imieniem Stefan tak jak ja, *anno*... nie rozumiałem podówczas którego, bo dziadek lata zawsze liczył po łacinie, ledwie że nie został wojewodą smoleńskim, czemu przeszkodziło to że Rzplta zobowiązała się jakimś traktatem nie mianować nadal wojewodów w krajach które już do niéj nie należały. Za owych czasów... przypominam sobie... dziwiło mnie to niezmiernie, że jestem szlachcicem, chociaż mam dopiéro sześć lat, i wierzyć temu nie chciałem. Dziś jednak... byłbym bardzo ciekawy czy to nie z owéj linii niedoszłego wojewody pochodzą Mirowie?... Tak... niezawodnie z téj saméj linii pochodzić muszą.... dowiem się tego koniecznie.... chociaż — po co? Gdybym i był z téj saméj linii, toby mi się na nic nie zdało — co po tytule, kiedy pusto w szkatule? Ot głupstwo — nie myślmy o tém.

Zakazał sobie myśleć o tytułowanym imienniku i myśl posłuszna zakazowi odbiegła od hrabiego Mira, ale odbiegła niedaleko.

Najbliższym przedmiotem jaki jéj się nasunął było właśnie owo przysłowie, które przytoczył na ostatku.

Zadał sobie pytanie, czy to przysłowie jest prawdziwém czy nie, i niedługo myśląc powiedział sobie że jest prawdziwém.

Prawdzie jako prawdzie postanowił się przyjrzeć z bliska. Nie było nic zdrożnego w téj intencji. Zaczął więc przysłowie oglądać na wszystkie strony.

Najprzód próbował czy prawda w niém zawarta nie dałaby się przenicować, i pokazało się że tego uczynić niepodobna.

Do godnego piastowania tytułu potrzebną była szkatuła, ale posiadacz szkatuły mógł się wybornie obejść bez innego tytułu, oprócz tytułu jéj właściciela.

Z tego spostrzeżenia wywiązało się znowu pytanie: co z tego dwojga jest ważniejsze, i jakkolwiek długo myślał, nie mógł na nie wymyśleć innéj odpowiedzi jak tę, że ważniejszą jest szkatuła, bo samoistnie coś znaczy.

Ztąd znowu wynikało, że myśleć o tytule gdy szkatuły nie było, znaczyło toż samo co mając silne pragnienie szukać wprzód szklanki niż wody. Wodą bez szklanki można się napis po djogenesowsku, ale szklanką bez wody niepodobna.

Gdy Stefan doszedł do tego wniosku zdawało się, że hrabia bezpowrotnie z myśli jego wyjechał, ale nim doszedł upłynęła dobra godzina, a on zajęty rozumowaniami o herbacie u Pieprzyckich zapomniał i ciągle się oddalał od miasta.

— O! do licha, — zawołał — już się zmierzcha.... spóźnię na wieczorek jak gdybym rzeczywiście był hrabią.

Zawrócił i pośpiesznie poszedł do doktorstwa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(„Kometa“ powieść p. *Henryka Lisickiego*— Kraków 1869. „Kilka pereł“ Szkic p. *Paulinę z L. Wilkońską*— Toruń, nakł. Rakowicza 1869. „Somatologie de la Femme“ p. *Romana Bierzyńskiego*— Paryż, nakł. Roy et Cie 1869).

Rzadką niezmiernie jest powieść ze względu na traktowaną materją, oryginalnie pomyślona, ale rzadsza jeszcze nierównie jest teraz lekkość połączona z elegancją i umiarkowanym zapatrywaniem się na stosunki świata, w którym się porusza piszący. Sielankowe opisy powiatowszczyzny zaściankowo- drobnoszlacheckie romanse i wszelkiego rodzaju elegije, na temat narodowy zostały już do dna wyczerpnięte; jedne tylko stosunki wielkiego świata na tle których francuzcy pisarze z taką świetną malują werwą, zostały u nas albo zupełnie nietknięte, lub też tak grubemi dotykane były palcami, że prawdziwie nie wiadomo było czy litować się nad koszlawą arogancją piszącego, czy też śmiać się nad jego rubasznością.

Powieść p. Lisickiego p. t. „Kometa“ drukowana poprzednio w „Przeglądzie polskim,“ jest dość udatną próbą w tym właśnie rodzaju, a jeżeli techniczny wykład dzieła nowo na polu piśmiennictwa występującego autora wiele jeszcze zostawia do życzenia, to znać przy-

najmniéj że autor wychował się w wytwornych formach tego właśnie towarzystwa które opisuje.

Okoliczność ta nadaje „Komecie" wiele powabu, a czytający rad że nie potrzebuje obcować z aż nadto znanym p. Mateuszem lub Marcinową, buja swobodnie w sferach obszerniejszych aniżeli te w których trzymała go prawie zawsze większość naszych powieściopisarzy.

Widocznym jest aż nadto że p. Lisicki zna i sympatyzuje ze swoim towarzystwem, nie pojmujemy więc dla czego odmalował nam posępną tylko jego stronę. Postacie takie jak hr. Ida i książe F., są bezwątpienia prawdziwe, lecz tylko ujemne i wcale potworne, stawiać je na pierwszym planie a tém samém robić je ogólnemi typami, było więcéj niż niestósownie tém bardziéj że mozolnie jaśniejsza postać Zdzisława, tak znowu obdarta jest ze wszelkiéj siły, że raczéj uchodzić może za towarzyskie *infusorium*, aniżeli za godną pierwszorzędnéj działalności osobę. Hr. August i pani Antonina znowu, są to lalki w szopce wywoływane w razie potrzeby, wpływ ich zaś na organiczny tok powieści jest aż nadto podrzędny lub zgoła żaden. Zresztą stoją oni na oddalonym planie, a tego rodzaju niezbędne subsydja jak koła towarzyskie i ruch salonowy zostały przez p. Lisickiego zupełnie prminięte, w skutku czego powieść jego aż do kalectwa niedomaga.

Przemilczemy o takich detalicznych usterkach jak n. p. spacer wieczorny w karecie z księciem w Baden-Baden i jego skutki, grzeszący nieznajomością rzeczy opis wyścigów konnych, wejście w świat paryzki hr. Idy a nadewszystko koniec karjery Zdzisława, zadowolimy się tą razą tym co już powiedzieliśmy, wolimy bowiem zachęcić autora do dalszych prób tego rodzaju, aniżeli dowieść mu że zalety jego powieści rzucone w napełnioną wodami filtrę analizy, nie zostawiają żadnego prawie osadu.

Chleba naszego powszedniego dostarczyła nam pani Wilkońska w postaci powieści p. t. „Kilka pereł" o któréj tyle tylko powiedzieć możemy, że byłaby nam miłą gdyby nie dawno już przeżuty temat. Ciche pożycie na wsi, dzielność naszéj młodzieży, miłość idealna z poświęceniami — daléj propaganda i szpieg w osobie kobiety a więc cytadela zsylka w Sybir jednych a emigracja drugich: ztąd łzy, narzekania i zgrzyt zębów.... kochanki i siostry towarzyszą narzeczonym i braciom na wygnanie w Irkucku czy Tobolsku, tam śluby, dzieci i powrót do kraju za amnestją.

Nieprawdaż, że to sympatyczne opowiadanie o królowéj Bonie, ale..... żeby choć ten styl był znośniejszy. Szkic powieściowy p. Wilkońskiéj będzie chętnie czytany przez tych co nawet z opisu o cierpieniach wspólnych nie powzięli jeszcze wyobrażenia.

Inną razą zastanowiemy się obszerniéj nad poważnym dziełem p. *Romana Bierzynskiego* p. t. „Somatologja kobiety" wyszłym w języku francuskim i chwalonym przez paryzkich krytyków. Dziś wzmiankujemy tylko że obok aforyzmów a niekiedy zdań paradoxalnych lub zbyt surowych, dzieło to zawiera wiele trafnych spostrzeżeń i sądów nad kobietą, tak że je uwadze naszych czytelniczek usilnie polecamy.

„Ażeby dowieść swéj miłości Hiszpan powinien — mówi autor — popełnić zbrodnię, we Włoszech dziwactwo, dla Angielki powinien kochanek być gotowym do samobójstwa, dla Francuzki dość by był śmiesznym, dla Polki nieśmiałéj i słabéj za wszystko starczy odwaga."

Z ustępu tego widać nieco przesady i naciągania, które większą część aforyzmów p. Bierzyńskiego cechują, z innych miejsc bije w oczy paradox i pewna bezwzględność sądu, całość jednak odznacza się znajomością płci pięknéj i — jak mówi krytyk francuzki p. Prosper d'Ageu — godną jest czytania.

Znaczną ilość aforyzmów przedrukował *Bolesławita* w „Omnibusie" Zeszyt VI.

W końcu dzisiejszego artykułu miło nam podziękować p. *Wildowi* księgarzowi w Krakowie za nadsyłanie nam do oceny wszystkich nowości nakładowych i oddanych mu w komis, z których właśnie czerpiemy materjał do naszych przeglądów.

O...le.

TEATR.

(„Mazepa" Tragedja w 5 Aktach p. *J. Słowackiego*).

Niewiele znaleźlibyśmy dzieł w całéj europejskiéj literaturze, tak znakomitéj wartości jak Słowackiego „Mazepa" i niepodobna nam zgodzić się na twierdzenie jednego z lepszych naszych krytyków, że tragedja ta jest podrzędnym utworem Słowackiego. — Biorąc rzecz ze stanowiska sztuki dramatycznéj, przyznać musimy że pomiędzy scenicznemi utworami Słowackiego, Mazepa zabiera piérwsze miejsce, ustrój jego bowiem organiczny warunkom sceny odpowiada w zupełności aż do zachowania jedności czasu i miejsca, a nadto otaczające wszystkie czynniki tąż samą nitką która tworzy kłębek dramatycznego zawiązku, nadaje całości cechę jednolitości, budzi żywy interes, zaostrza ciekawość i utrzymuje widza aż do końca w stanie pewnéj emocji, która wcale nie łatwo daje się wywołać. Prócz tego posiada Mazepa tę jeszcze ważną stronę, że daje nie dające się zaprzeczyć świadectwo znajomości Słowackiego z techniką sceniczną na któréj „Lilli Wenedzie" i „Balladynie" zupełnie zbywa, że zatém sztuki te nie będąc przez autora przeznaczone do teatralnego użytku dawanemi być nie powinny.

Obok tych niepospolitych zalet posiada „Mazepa" nader ważną wadę, która artystycznym wykonawcom niezłomne stawia przeszkody. Wadą tą, jest idealny konflikt pomiędzy wprowadzonemi na scenę osobami a uzewnętrzniającym się w ich słowach duchem przewodniczącym całości. Osoby z nazwiska i stroju są polskiemi historycznemi postaciami, duch jednak ogólnéj kompozycji nie cechuje się bynajmniéj polskością.

Ówczesna nasza społeczność miała właściwe sobie wyróżniające cechy bez uwzględnienia których indywidualność takiego np. wojewody występuje w postaci charakterystycznego anachronizmu, niedającego się zatrzeć najlepszą nawet grą podobnego artysty jak pan Rychter.— Sąsiedzi nasi w teatrze upatrywali w grze p. Rychtera reminiscencje Schyloka, mieli oni do pewnego stopnia słuszność, nie tylko bowiem w grze p. R. ale w całości utworu dopatrzyć się można reminiscencji wielu arcydzieł angielskiéj i niemieckiéj literatury, a sam p. wojewoda przebrany odpowiednio mógłby bez zmiany textu uchodzić za jakiego Granda, Condotierra, lub inną podobną postać— jest on bowiem wszystkim, tylko nie polskim wojewodą.

Co do gry p. Rychtera w ogólności, jako takiéj bez uwzględnienia oddawanéj postaci, to była ona nieskończenie wypracowaną a w takich scenach jak zamurowywanie Mazepy, wyczekiwanie na rezultat pojedynku i na trumnie syna niemal natchnioną. Jeżeli zaś wojewoda p. Rychtera nie był typem prawdziwym, to główna wina spada na autora.

P. Hoffmann (Amelia) była tego wieczora w szczęśliwym nastroju i z trudnego zadania wywiązała się świetniéj niż kiedykolwiek— szczególniéj odznaczyła się długa a zatém trudna do utrzymania w równowadze niema scena przed królem w akcie 4tym.

P. Benda (Mazepa) wykonał po raz pierwszy rolę dramatyczną mięszanego rodzaju bez zarzutu, cieniowanie przechodzeń z ustępu żartobliwego w charakter serjo było bardzo trafne. Zadowolnił nas także pan Ładnowski (Zbigniew), jedną tylko pozwolemy sobie zrobić zmiankę, że zapominał niekiedy o rotmistrzowskim swoim charakterze, w skutku czego pathos jego był raczéj nerwowy, sentymentalny, niż bohaterski.

Co do ogółu to przyznać należy, że przedstawienie całe poszło udatnie i starannie, a interwencje suflera były mniéj wyraziste niż przy innych tragicznych produkcjach.

W końcu pozwalamy sobie zapisać tu smutny fakt że głośne rozmowy publiczności już po rozpoczęciu widowiska, spóźnianie się i przedwczesne wychodzenie sprawiają przykrość tym, którzy nie dla fanfaronady lecz dla miłości sztuki zwykli bywać w teatrze.

O...le.

α. ∂. **Kronika.** — Kronikarz żałuje że nie może być dowcipniejszym, a przynajmniéj tak jako p. Pieniążek — z tego powodu bajka o brodzie Mierosławskiego i o dowcipie à la Himalaje.

Redaktor „Kwiatów" widocznie miał kateraktę na oczach gdy pisał sławny swój prospekt, albo nie zrozumiał w sensie moralnym skromnych reklam o swoim dzienniku zamieszczonych w „Kraju" i „Kalinie." Tylko przez uprzejmość koleżeńską zwracamy łaskawą uwagę Redakcji, że w nich nic tak bardzo zachęcającego do przedpłaty nie ma... Co zaś do premji przyobiecanéj bez względu na liczbę prenumeratorów „Włościanina," jest to rzecz arcy chwalebna. — Zalecamy środek ten wszystkim wydawcom, którzy chcą mieć niezliczone mnóstwo przedpłacicieli, zapewniając ich przy téj sposobności najuroczyściéj że oprawioną, zawiesimy nad biórkiem aby nam przypominała dzieła wiekopomnych poświęceń!

— Gotów jest szanowny kronikarz „Kwiatów" to wszystko co pisze o poświęceniach wziąść za nową reklamę dla swego dziennika, i ogłosić jeszcze w trzeciéj edycji listów zwrotnych na „Kwiaty" w kwartale pierwszym, jako bezstronne uznanie subtelności jego dowcipu w pierwszéj kronice.

Ha! cóż robić! — niechże już i tak będzie.

Za to nie żądam wiele, (ręka rękę myje mówi przysłowie) zamawiam tylko sobie łaskawą protekcyę na przyszły proszony opłatek u Dra Gumplowicza — prosząc szanownego kronikarza „Kwiatów" aby mnie wykreślił z liczby sławetnych przyjaciół „Kraju."

Pokazuje się że to nie źle czasem umieć kręcić biczyk z piasku, albo znać tajemnicę czerpania dowcipu z dzbanka Salomona — kto to potrafi — wiele potrafi. Od razu staje się na stanowisku znakomitych mężów pióra, — a dowcip rozkołysany jak broda Mierosławskiego jednêm końcem opierając się na szczycie Himalajów — a drugim na wieży Marjackiego kościoła — bierze pod swoją protekcją dziennik „Kraj" n. p. — i to wszystko za kawałek proszonego opłatka!

Wdzięczność widocznie zjechała do Krakowa na karnawał, i niezawodnie będzie na pierwszym balu w Resursie mieszczańskiéj tańczyć pierwszego kadryla z kronikarzem „Kwiatów." Z téj to przyczyny zapewne amatorowie bezika upoważnili swojego Szefa do złożenia czynności na jeden wieczór — przez co ogromna stegnacja panować ma na horyzoncie sześciu dam i stu asów — co przecież nie wpływa nic na kurs papierów giełdy krakowskiéj.

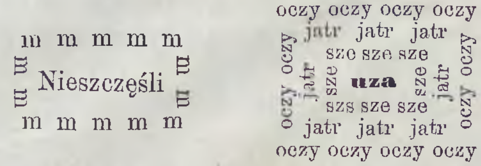
Bojąc się aby nas „Kwiaty" lub „Kraj" nie uprzedziły w skrzętności zbierania nowin krakowskich — wolimy zawczasu podzielić się tą wiadomością z czytelnikami — że wkrótce ma się odbyć w Krakowie zjazd wszystkich archeologów — a na zjeździe tym ma być postawiony wniosek co do wydania monografji zamku Wawelskiego.

Jakto trudno jednakże człowiekowi poprawić się. — Przysięgasz sobie że nigdy nikomu w drogę nie zajdziesz, robisz najuroczystsze przyrzeczenia — godzisz się z własnem sumieniem i ludźmi, gdy w tem... wychodzi pierwszy Ner. „Kwiatów" i wszystkie nadzieje że kiedyś zostaniesz doskonałym... w łeb biorą.

*** P. Tabólski wykończył już wielki ołtarz w kościele P. Maryi w Krakowie, i już od dni kilku pobożni i ciekawi oglądają arcydzieło nieśmiertelnego Wita Stwosza.

*** Pierwszy bal akademicki odbędzie się w Krakowie w Hotelu Saskim d. 12 st. r. b.

REBUS.



Znaczenie rebusa w Nr 1.: Podczas wiatru dobrze pod dachem.

Do Nru dzisiejszego dołącza się Program „*Opiekuna polskich dzieci*"

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Kraków.— W Drukarni Uniwersytetu Jagiell., pod zarządem K. Mańkowskiego. 1870.